

miast tej szkatułki. Ponieważ to jest mojem zajęciem, zgodziłem się naturalnie, lecz musiałem mu przedtem zaręczyć, że spełnię jego rozkaz co do joty.

Nagle błysnęła pewna myśl baronowi. Może książkę przysłał sam tę szkatułkę! Bardzo możliwe, że znajdują się tam jakieś papiery, albo inne jakieś tajemnice.

Po krótkim więc namyśle odpowiedział:

— Chodź za mną!

Poszedł naprzód i udał się napowrót do buduaru córki, która go wyczekiwała niecierpliwie. Zdało się, że Leontyna nadludzkim wysiłkiem zmuszała się do spokoju. Zaledwie dowiedziała się o dziwnym poleceniu, jakie otrzymał posłaniec, za-błysły jej oczy febrycznie.

— Musimy natychmiast otworzyć szkatułkę, ojcze. Jestem przekonana, że wewnątrz znajdziemy rozwiązanie zagadkowej nieobecności Anatola.

Na skinienie barona, odwinął posłaniec dość dużą szkatułkę, owiniętą w ciemne sukno, postawił ją na małym stoliku i rzekł:

— Nieznajomy wręczył mi również mały klucz, który mogę doręczyć tylko samej baronównie.

Baron oglądał tymczasem zagadkową szkatułkę. Była ona około 20 cm. wysoka i stała na dwóch rzeźbionych nóżkach, przypominających pazury tygrysa.

Szkatułka była prawdopodobnie z drzewa, czego jednak nie można było na pewne utrzymywać, bo wiek i niezliczona ilość dziwnych malowideł, znajdujących się na wieczku i bokach, nadawała mu dziwny wygląd. Właściwie można było szkatułkę uważać za czarną, bo malowidła występowały na niej bardzo błado. Można ją było uważać za robotę hiszpańską i baron przypomniał sobie, że zwiedzając Alhambrę, widział podobne rysunki na ścianach tej sławnej maurytańskiej budowli.

Leontyna chwyciła mały klucz i ogładała go przez chwilę. Palił jej ręce, jak ogień. Jakaś tajemna trwoga zakazywała jej otwierać zamek, z drugiej zaś strony było to prawie dla niej niemożliwym odesłać szkatułkę, nie przekonawszy się o jej zawartości.

Posłaniec, oddawszy klucz, cofnął się skromnie i rzekł:

— Panie baronie, wypełniłem dane mi zlecenie i mogę się oddalić.

Baron de Brepont skinął głową.

— Każ sobie memu kamerdynerowi dać specjalne wynagrodzenie. Dzisiaj święto w moim domu.

— Serdecznie dziękuję, panie baronie — odpowiedział posłaniec i oddalił się, ukłoniwszy się kilkakrotnie.

Brepont znalazł się sam na sam z Leontyną. On także doznawał dziwnego lęku, ile razy spojrzął na czarną szkatułkę.

— Od kogo może ona pochodzić? — usłyszał nagle ciche pytanie Leontyny.

Zamienił z nią spojrzenie, wzruszywszy przytem lekko ramionami.

— Od Anatola, z pewnością od Anatola — zawołała gwałtownie Leontyna i silny płomień przeleciał przez jej lica. Jeszcze chwila, a młoda, biała ubrana narzeczona położyła lewą rękę na czarnym wieku szkatułki, podczas gdy prawą wsadzała klucz do małego zameczka. Trzasło i szkatułka stała otworem. Nachyliwszy się lekko, podniosła Leontyna wieczko.

Baron przystąpił bliżej i przypatrywał się razem z córką zawartości szkatułki.

Na wierzchu leżał list, który Leontyna natychmiast wyjęła. Oprócz niego leżał w szkatułce jakiś szczególnie zawinięty przedmiot.

— Czyż nie przeczytasz listu, Leontyno? — zapytał trwożnie baron, bo, jak słusznie przypuszczał, list musiał zawierać z pewnością rozwiązanie zagadki, lecz on nie mógł wiedzieć, jak ono brzmiało!

Ścięte wargi Leontyny zadrżały lekko. Nie odezwała się ani słowa, lecz skinęła zezwalająco głową, o ojciec podał jej srebrny nóż do otwierania listów.

Drżącą ręką wyciągnęła wąski papier i rozłożyła go. Energiczne pismo odbijało od delikatnego papieru. Z szeroko otwartymi oczyma czytała Leontyna de Brepont następujące słowa:

„Dzisiejszego rana oczekuje Pani ręki księcia de Bligny! Oto ona! Wiele szczęścia w małżeństwie!“

Leontyna zmartwiała, przeczytawszy te słowa. Brepont strwożony zbliżył się do niej i spytał niespokojnie:

— Jakiej wiadomości ci udzielono, dziecko?

Leontyna przesunęła prawą ręką po czole i odrzekła zmieszana:

— Czytaj sam, ojcze, ja nie wiem, co to ma znaczyć! Czego oni chcą odemnie?

Baron przebiegł sam oczami list. Jego twarz już przedtem błada, pokryła się śmiertelną bladocią i przerażony upuścił list, patrząc przytem szeroko rozwartymi oczyma w czarną szkatułkę, stojącą na środku stołu.

Leontyna zdawała się istotnie nie pojmować, co miała znaczyć ta wiadomość, bo wykrzyknęła głośno:

— Dlaczegoś taki przerażony, ojcze? Piszą mi, że otrzymam dzisiaj rękę Anatola, lecz gdzież on? Ja go przecież nie widzę!

Baron chciał mówić, lecz tylko niewyraźne dźwięki przeciskały się przez jego wargi, przytem drżał cały i mógł tylko wskazać na czarną szkatułkę.

Leontyna widziała, jak jej ojciec upadł na krzesło i wiedziała, że nagle myśla, wyjęła z kasetki w jedwab owinięty przedmiot. Odwinęła zasłonę i zauważyła, że w niej leżał pakiet, owinięty ciemnym jedwabiem.

Baron Brepont podniósł rękę, jakby chciał po-



— Leontyno, me dziecko — zawołał i przypadł do otomany, na której, wśród chmury koronek, spoczywała Leonia.

wstrzymać Leonie, lecz w tejże samej chwili zdarło dziewczę i tę zasłonę.

Zaledwie to uczyniła, cofnęła się z krzykiem wstecz. Stała sztywno przy stole, wyciągnęła jednak obie ręce z szeroko rozpostartymi palcami przed siebie, podczas gdy na jej twarzy malowało się przerażenie i groza.

Teraz podniósł się i baron, a jego oczy uderzył straszny widok.

Na stole leżała ludzka ręka, oddzielona od ramienia w przegubie. Białe, długie, wąskie palce leżały na ciemnym tle jedwabiu. Na środkowym palcu błyszczał bogaty brylant, rozszczepiający światło, padające snopami od okien. Pierścień ten mógł należeć tylko do księcia de Bligny!

Takie więc było tłumaczenie tego dziwnego listu!

Leontyna Brepont czekała wprawdzie na rękę księcia, lecz nie przeczuwała, by ją w ten sposób miała otrzymać! Długą chwilę stała, jak skamieniała ze zgrozy i przerażenia! Także baron oparł się obydwoma rękami o stół i stał tak bez głosu, patrząc szklistym wzrokiem w martwą rękę.

— Ręka Anatola! — krzyknęła nagle strasznym głosem Leontyna. — Zamordowano mi go! Już go więcej nie zobaczę!

Baron, wyrwany tym rozpaczliwym krzykiem

z osłupienia, chciał chwycić w ramiona swe dziecko, ale już było zapóźno.

Jak ugodzona śmiertelnym ciosem, padła, obrana ze swych najpiękniejszych nadziei, na ziemię.

W kwadrans potem zaległa śmiertelna cisza odświętnie przybrany pałac barona.

Wszyscy goście opuścili spiesźnie pałac, dowiedziawszy się od bladego jak śmierć barona, że jego córka zachorowała i ślub musi być odłożony. Nieobecność księcia dawała wielkie pole do domysłów, lecz nikt nie mógł wiedzieć, co właściwie zaszło. Z pomieszczenia służby wnoszono, że musiało zajść coś strasznego i z tego wnoszono, że w ciągu dnia dowiedzą się bliższych wiadomości.

II.

O godzinie 10 rano miał się odbyć ślub księcia de Bligny z Leontyną de Brepout w kościele „Notre Dame“. O godzinie 11 wsiadł szef paryskiego biura bezpieczeństwa do zamkniętej karetki i kazał się zawieźć do pałacu barona Brepont. Już przedtem udał się tam lekarz sądowy, mer i dwóch komisarzy policyjnych. Szef policyi, wszedłszy do pałacu, zastał już tam lekarza i urzędników policyjnych. Tymczasem służba rzuciła już złotem szyte liberye i przywdziała czarne.

Mer pomówił kilka słów z szefem policyi i wszyscy czekali na przybycie ciężko dotkniętego barona. On sam bowiem zawiadomił telefonicznie policyję o strasnej zbrodni. Nie wiadano wprawdzie, do-brze, co się stało, gdyż baron, strasznie wzburzony, telefonował niejasno, lecz sama wiadomość o morderstwie i odciętej ręce, wystarczała do zaalarmowania policyi.

Niedługo ukazał się baron. Przez te kilka dziesiąt minut postarzał się o lata całe. Młodzieńcza świeżość jego lic zmieniła się w zgrzybiałość starca, a nawet ubiór, o który przedtem tak bardzo dbał, nosił cechy zaniedbania, bo biały krawat przekreślił się całkiem na bok, a rzadziejące włosy były w strasznym nieładzie.

— Widzicie mię, panowie — zaczął ciężkim głosem — strasznie przygnębionym. Nie wiem, w jaki sposób mogło się stać coś tak strasznego, z czego nie mogę wybrnąć, chociaż dosyć nadtem nałamałem sobie głowę,

bo wypadek ten podzielał na mnie tak, jakby piorun uderzył z jasnego nieba. Dopiero wczoraj siedział u mnie uśmiechnięty i ja sam odprowadziłem go aż do stopni powozu, a dzisiaj?!

Baron mówił niejasno, lecz nie można mu było brać za złe, bo jego zewnętrzny wygląd wskazywał na straszny cios, który uderzył w dom jego.

Z trudem dopiero udało się komisarzowi wydobyć z niego bliższe wiadomości.

Brepont opowiadał, często sobie przerywając głębokim westchnieniem, wypadki dzisiejszego poranka. Dopiero, gdy doszedł do nieszczęsnego listu i zawartości czarnej szkatułki, poczęli się urzędnicy, którzy słuchali dotąd obojętnie, coraz bardziej interesować.

— Czy pan się nie domyśla, panie baronie — zapytał szef — kto może być nadawcą tej szkatułki?

(Ciąg dalszy nastąpi).

